

Wspomnienie o Oli

Nasuwa mi się takie zdanie – pierwsze zdanie z powieści Josepha Hellera, „Paragraf 22”, jednej z książek wspólnie przez nas czytanych w czasach liceum.

Kontekst zupełnie inny, ale treść pasuje:

„Była to miłość od pierwszego wejrzenia”

Tak, to była prawdziwa, nastoletnia miłość od pierwszego wejrzenia. Pamiętam, że zobaczyłem Olę w klasie podczas egzaminu wstępnego na liceum. To było jak uderzenie – piękna dziewczyna, poruszająca się z niesamowicie pociągający mnie sposób, atrakcyjnie ubrana, o pięknej figurze...

Później wielokrotnie powtarzałem Jej, że to COŚ, co ma w sobie, a czego nie umiałem jeszcze wówczas nazwać, spowoduje, że dla Niej czas nie będzie istniał, że zawsze będzie młoda i piękna, niezależnie od wieku. I tak było.

Nie miałem śmiałości wówczas do Niej się odezwać. Następne nasze spotkanie miało miejsce przy okazji pierwszej tzw. „dyskoteki” szkolnej, kiedy zobaczyłem Ją na placu Sikorskiego, przed szkołą, wystrzałowo ubraną (nie mylić z Dodostylem). Miała długą cygańską spódnicę, czarne sandałki - szpilki, odpowiedni makijaż... taka Cyganicha emanująca kobiecością i energią... i to mnie obezwładniło do końca.. Oczywiście nie miałem śmiałości poprosić Jej do tańca...

Ola zawsze była ładnie, oryginalnie ubrana, odpowiednio do okazji, ale też nieraz prowokująco. Sama projektowała sobie różne stroje. Myślę, że oprócz Jej niewątpliwie dobrego gustu, poczucia smaku i kompozycji, spora w tym zasługa Jej Mamy, która pomagała lub realizowała pomysły Oli.

Ola tworzyła wokół siebie atmosferę tajemniczości, dwuznaczności... Nie robiła tego w sztuczny, wymuszony sposób, było to po prostu coś, co ją otaczało. Była znacznie doroślejsza, dojrzała ode mnie. Lubiła się bawić tą tajemniczością, np.: Często była podwożona pod szkołę białym Fiatem, zęgnęła się całując kierowcę i wysiadała pod szkołą.

Oczywiście krążyły domysły, kim jest ten mężczyzna, skąd Ona wraca, tak nietuzinkowo ubrana, zachowująca się z takim dystansem do nas – w końcu kolegów z klasy itd. W mojej głowie dymiło od fantastycznych spekulacji... Potem okazało się, że po prostu do szkoły podwoził ją Tato i tyle. Ale to było potem. Wcześniej Ola na przerwach miała starsze towarzystwo, swoją przyjaciółkę Kasię, która też wyglądała i zachowywała się nie do końca „grzecznie” - oczywiście w moich oczach jeszcze „grzecznego” nastolatka...

Widywałem też Olę w towarzystwie studentów, wchodzącą do klubu studenckiego „Pyrlik” - wtedy, w pierwszej klasie liceum, chłopcy-licealiści nie mieli raczej tam wstępu, dziewczynom, zwłaszcza atrakcyjnym – takim jak Ola - było łatwiej. Potem okazało się, że Ola wchodziła w skład grupy teatralnej, przygotowywali spektakle, później byłem na kilku z nich...

Ola – Teatr, Ola – aktorka... Bardzo mi się podobała w swoich rolach. Było w nich to, co w całej Oli – energia, pasja, ruch, instynkt, naturalność...

To przypomina mi pewne zdarzenie w szkole, pewnie w pierwszej klasie liceum. Było to jesienią. Na lekcji polskiego mieliśmy recytować jakiś wiersz, czy wiersze. Standard obrzydliwy – po kolei do tablicy, odbębnić, zainkasować ocenę i z głowy. Jeden recytuje, kilku zakuwa, bo jeszcze nie umie, reszta robi co się da, żeby jakoś przetrwać, muchy latają. I tak to sobie trwało w szarej nudzie...

Do chwili, kiedy na środek została wywołana Aleksandra Czerny. Ja oczywiście patrzyłem na Nią, miała na sobie sweterek w poziome paski, zielono-czarne, opinający Jej świetną figurę, długą szeroką spódnicę, kozaki na obcasach, włosy spięte w warkocz. W klasie panowało senne mruczenie...

I Ola zaczęła recytować. Nie wiem, co, wiem tylko jak... Klasa zamarła, tramwaje za oknem przestały jeździć, muchy zapomniały o machaniu skrzydłami i pospadały na ziemię, kilku się obudziło, nasz polonista, profesor Słaby, złapał się za serce.

Ta recytacja była jak grzmot, słowa padały z niesamowitą ekspresją, siłą, od której pękały ściany, z rytmem, z sensem, z logiką interpunkcji... Wszystkich po prostu zatkało.

A Ola miała możliwości głosowe, miała też skąd ten głos wydobywać... I naprawdę potrafiła używać swego głosu.

Próbowaliśmy się (jak to chłopcy) uśmiechać do siebie - „ale wariatka”, ale nawet to nie

wychodziło – czuło się, że to nie jakaś nawiedzona kujonka, tylko, że to jest profesjonalna recytacja, prawdziwie aktorska interpretacja wiersza...

Ta niesamowita chwila trwała czas jakiś, a potem zapadła cisza... Całkowita, doskonała cisza, w której wybrzmiewały ostatnie słowa tego wiersza... Cisza, po której w każdej sali teatralnej nastąpiłaby burza braw...

Ale to była szkoła, lekcja polskiego, więc tylko trwała ta cisza. Ale ja wiedziałem, że to było niezwykle, poczułem niesamowitą siłę przekazu, tą energię zawartą w słowach, gestach... Będę to zawsze pamiętał...

Po maturze Ola zdawała do szkoły aktorskiej. Na szczęście nie została przyjęta – pod bardzo głupim pretekstem.

I całe szczęście – nie musi się poniżać występując w telenowelach, a w swoim życiu zrobiła pewnie nieporównywalnie więcej dobrego, niż gdyby była aktorką. Zresztą – nigdy nie żałowała tego. Ani tego, że próbowała, ani tego, że się nie udało.

Co do możliwości aktorskich Oli – nigdy nie zapomnę postaci Smoka z Hobbita w Jej interpretacji. W domu Jej Rodziców, ja robiłem coś elektronicznego, a Ola siedziała koło mnie i czytała mi Hobbita... Chwilami zupełnie zapomniałem, co miałem robić i po prostu zasłuchiwałem się w Jej interpretację. Miała syntetyczny głos – potrafiła go różnicować między postaciami, czytając z różnym tempem, intonacją... To był naprawdę teatr wyobraźni... Uwielbiałem Jej czytanie.

Na szczęście nie tylko ja mogłem doświadczyć Jej możliwości w tym zakresie. Kilka lat później, kiedy nasza Ania była kilkuletnim brzdącem, czytaliśmy Jej bajki, opowiadaliśmy różne historie. Pamiętam, jak pewnego razu podczas pisania jakiegoś programu, nagle przestałem pisać i poczułem, jak włosy jeżą mi się na głowie (wtedy miałem ich zdecydowanie więcej). Dotarło do mnie, że Ola czyta Ani bajkę o jakimś czarnym rycerzu, na czarnym koniu, walczącym przy jakimś czarnym zamku czy czymś równie strasznym. Tzn. bajka nie była straszna, tylko jakaś scena była taka bardzo ponura. W każdym razie Ola tą scenę interpretowała tak, że musiała przerwać, bo Ania i ja zaczynaliśmy się bać i prosiliśmy, żeby przestała.... Czytaniem swoim potrafiła zbudować niesamowity nastrój...

Ola bardzo pięknie śpiewała. Była, co może się wydawać dziwne, nieśmiała, ale kiedy udało się ją namówić – bardzo pięknie śpiewała. Lubiliśmy z Anią taką piosenkę o koniach, czarnych dzikich...

Jakoś tak w drugiej klasie liceum w końcu zaczęliśmy rozmawiać, spotykać się... Powiedziała mi, że spodobało się Jej jakieś moje wypracowanie na polskim, to, jak się wypowiadałem na jakiś temat – przerabialiśmy romantyzm w tym czasie. Oboje nie przepadaliśmy za Mickiewiczem, woleliśmy Słowackiego. Te Oli słowa to jeden z najmiłszych komplementów, jaki mnie w życiu spotkał.

Potem był teatr, Wysocki, Fronczewski, Zapasiewicz, Holoubek, spektakle, filmy. Gogol, Bułhakow, Czechow.

Zdobywała gdzieś nagrania spektakli, słuchaliśmy ich z Jej magnetofonu kasetowego godzinami. Słuchała całą sobą, patrzyłem, jak Jej ciało reaguje na słowa.

Zwłaszcza poezja Wysockiego była dla Oli ważna. Dla mnie stała się również. W czasach antyradzieckości, stanu wojennego, ja pod wpływem tej poezji uczyłem się rosyjskiego, żeby rozumieć, słuchać świadomie w oryginale... Kupowałem Oli płyty Wysockiego (winyłowe), a czasem nie tylko kupowałem...

A potem słuchaliśmy tych utworów, w różnych interpretacjach i aranżacjach.

Ola czytała Dostojewskiego w oryginale – to robiło wrażenie.

Prócz swej radości życia, miała też w sobie drugą Olę, tą Olę od cierpienia, smutną, nostalgiczną, tragiczną, niosącą w sobie spuściznę tragicznych losów pokoleń Jej rodziny. Po wielu latach, kiedy była już świadoma swojej przeszłości, wielokrotnie o tym rozmawialiśmy, opowiadała mi kolejne odkrywane epizody – tragiczne epizody w historii Jej rodziny, dotyczące wojen, śmierci, cudownych ocalań...

Nie byliśmy parą do końca liceum, nasze drogi się rozeszły. Ola zdawała do szkoły aktorskiej, potem chyba na konserwację zabytków w Toruniu, ja studiowałem w Gliwicach. Aż pewnego dnia wsiadłem jak co dzień do pociągu Bytom - Gliwice i zobaczyłem pod światło dziewczynę w czarnym ciężkim płaszczu z długimi ciemnymi włosami... Nie

widziałem jej twarzy, ale było w tej postaci coś znajomego... Kiedy pociąg skręcił i słońce przestało mnie oślepić – rozpoznałem Olę.

Podszedłem do Niej – ucieszyliśmy się na swój widok i tak zaczął się drugi etap naszej znajomości. Okazało się, że studiuje na chemii w Gliwicach, tak, by coś robić, planuje startować za rok na psychologię do Katowic. Zaczęliśmy się spotykać, spędzaliśmy coraz więcej czasu razem, lubiliśmy coraz bardziej, w końcu pokochaliśmy się. Bywaliśmy w Gliwicach na różnych wydarzeniach teatralnych – pamiętam monodram p. Walczewskiego – chyba coś Gogola. Bardzo nam się to podobało, wyszliśmy po wrażeniu tego słowiańskiego ducha, takiego smutnego, beznadziejnego, dekadenceckiego...

Jeszcze przed ślubem pojechaliśmy po raz pierwszy razem na wakacje, nad jeziora koło Szczytna. Pamiętam, że pływaliliśmy, zbieraliśmy grzyby, które potem na zaprzyjaźnieni grzybiarze weryfikowali, a Ola robiła z nich zupę grzybową w dużym garnku – chyba z 5 litrów – potem chyba rozdawaliśmy ją, bo nie byliśmy w stanie tego przejeść.

Tam uczyłem Ją grać w pingponga. Pamiętam moją bezradność, jak zakwestionowała sposób serwowania w pingpongu – zapytała mnie „Dlaczego piłeczka ma się odbić 2 razy – najpierw na mojej stronie?” Kompletnie mnie tym zaskoczyła. Ale to było typowe dla Oli – nie przyjmowała niczego bez wyjaśnienia – kwestionowała przy braku dowodów. Zdecydowanie nie była konformistką.

Potem był egzamin na psychologię. Chyba siedmiu czy dziesięciu kandydatów na jedno miejsce. Pamiętam, że bardzo się denerwowałem i pamiętam Jej radość, kiedy się dostała, na jednym z pierwszych miejsc.

Ola miała ogromne możliwości intelektualne i potrafiła je wykorzystać. Pamiętam, jak w liceum dostałem dwójkę, bo nie umiałem omówić cyklu Carnota, to po lekcjach w drodze powrotnej do domu Ola mi go wyjaśniała. Nie żeby się tym interesowała, ale jak miała wiedzieć, to szła to swojego Taty i potem już wiedziała.

A potem był ślub i urodziła się Ania. Wiedzieliśmy, że będzie to dziewczynka, wymyśliliśmy imię: Olga – ciągle pod wpływem literatury rosyjskiej... Ale jak się Ania pojawiła i Ola pokazała mi ją przez szpitalne okno – oboje stwierdziliśmy, że imię Olga jest zbyt mroczne i tak śliczny niuniek dostał na imię Ania – to imię nam po prostu pasowało.

Ja pracowałem, Ola studiowała. Potem zaczęła pracować.

Ola przez kilka lat pracowała w przedszkolu integracyjnym dla dzieci z wadami słuchu, współtworząc specjalny program edukacyjny dla nich, uczący je za pomocą obrazków, ćwiczeń, mówić, czytać, komunikować się. Była bardzo zaangażowana w pracę z tymi dziećmi, Ania chodziła też do tego przedszkola – myślę, że to miało duży wpływ na stosunek Ani do takich dzieci. Przyjemnie było patrzeć, jak te dzieciaki integrują się z innymi dziećmi, jak zacierają się różnice między nimi. Czasami bywałem w przedszkolu gościem i byłem zaskoczony, jak bardzo te dzieci się zmieniają.

Jak zwykle – to, w co się Ola zaangażowała – dało cudowne efekty, pomagało ludziom, dzieciom, ich rodzicom...

Nasze drogi zaczęły się stopniowo rozchodzić.

Ja uciekłem w świat komputerów, zarabiania pieniędzy... Ola usiłowała jakoś to wszystko posklejać, ja byłem za głupi na to, żeby się zatrzymać i wrócić. Chciałem, żeby się szkoliła, żeby była niezależna. Zawsze myślałem, że umrę szybciej i chciałem Ją i dzieci zabezpieczyć na przyszłość.

W końcu byliśmy tak daleko od siebie, że nie sposób było dalej żyć razem. Bardzo przeżywaliśmy ten okres. Dobrze, że miała oparcie w swoim otoczeniu, to pozwalało Jej jakoś funkcjonować. Aż w końcu uznaliśmy, że uczciwiej będzie się rozstać. W tym czasie już wróciłem do przytomności i byłem gotowy zrobić dużo, żeby ratować nasze małżeństwo, ale chyba było to nie możliwe.

Mogłem okazać to, że Ją kocham i szanuję godząc się na Jej prośbę o rozstanie.

Prosiła mnie o to, bym przestał walczyć, bo to ją zabijało. Posłuchałem.

To, co mogliśmy zrobić, to uczciwie, ze wzajemnym szacunkiem się rozstać. I tak zrobiliśmy. Pamiętam, jak wkurzyliśmy sędzinę na rozprawie rozwodowej, kiedy chciała nas skłócić, a myśmy twardo i zgodnie się jej przeciwstawili. Naszym wspólnym celem było zapewnienie dzieciom przetrwania tego złego czasu z jak najmniejszymi stratami.

W ten sposób zaczął się trzeci etap naszej znajomości – życie po rozwodzie.

Byliśmy w stałym kontakcie za sprawą dzieci. Spędzaliśmy razem święta – dzieci miały dwa domy, robiliśmy wszystko, żeby ich nie skrzywdzić.

Oli, nam – udało się tak pokierować naszym życiem, że byliśmy naprawdę dobrze współpracującymi rodzicami po rozwodzie. Dawaliśmy im naszą miłość i uczciwie je kochaliśmy. Zawsze stanowiliśmy jedność jako rodzice, nie było żadnego wygrywania dzieci przeciw sobie itd. A wszystko dlatego, że naszym priorytetem było dobro dzieci.

Ola dalej pracowała, szkoliła się, ewoluowała, była coraz lepsza w swoim zawodzie. Nieraz opowiadała (bez szczegółów) o różnych przypadkach, poznanych ludziach, szkoleniach. Była zafascynowana niektórymi z nich, szczególnie Jej mentorką i przyjaciółką p. Marią. Była z Nią silnie związana emocjonalnie, duchowo. Bardzo wiele Jej zawdzięcza. Dzieliła się radościami z sukcesów, a czasem stremowana dzwoniła przed jakimś poważniejszym występem i usiłowaliśmy to przegadać.

Cieszyłem się z Jej radości, wkurzałem na tych, którzy robili Jej przykrości.

Wiedziałem, że oddalała się ode mnie coraz dalej w swoim świecie doznań ponad świadomych.

Wielokrotnie mówiłem Jej, za jaką cudowną osobę Ją uważam. I jako człowieka, matkę naszych dzieci, córkę swoich Rodziców i jako psychologa. Obruszała się, nie chciała tego słuchać. Mówiła, że się nie znam. Była bardzo skromną osobą. Ciągle miała wątpliwości, co do swoich umiejętności, a ja nie umiałem Jej przekonać, że przecież widzi, jakie ma pozytywne zwroty od ludzi, którym pomogła, od współpracowników.

Jedną z Jej zalet było to, że prawie nigdy nie mówiła źle o innych. A ci, o których mówiła, musieli naprawdę na to zasłużyć.

Po kilkunastu latach od liceum, kiedy pojawiła się przed Olą perspektywa wyjazdu zawodowego do USA, zaczęła się uczyć na nowo angielskiego – była tak zdeterminowana, że robiła błyskawiczne postępy i po roku potrafiła się już nim posługiwać dość płynnie.

Tuż przed naszym rozstaniem, byliśmy razem na imprezie Sylwestrowej i tam, dobrze po

północy, nieże już wstawieni, rozmawialiśmy o naszym poranionym życiu po angielsku.

Przez cały ten prawie 30-sto letni okres naszego wspólnego życia towarzyszyły nam książki. Czytaliśmy dużo, mieliśmy kilku wspólnie ulubionych pisarzy. Książki były naszymi żelaznymi prezentami.

Ja wynalazłem gdzieś Wiliama Whartona, John'a Irvinga, Ola – Jonathana Carrolla, Paulo Cohello, Bułhakowa – nie tylko „Mistrza i Małgorzatę”

Na wakacje zawsze braliśmy kilka grubych książek, które wymiennie czytaliśmy.

Pamiętam taką dość nieprawdopodobną historię związaną z Johnem Irvingiem i „Hotelem New Hampshire”. Na wakacjach we Włoszech mieliśmy tą książkę, jako naszą pierwszą tego autora. Oboje byliśmy nią zachwyceni, a zwłaszcza opisem Wiednia, który był i jest dla mnie miastem szczególnym.

Podkreślaliśmy fragmenty opisujące jego ulice, miejsca, w których działa się akcja. Pisząc to mam przed sobą właśnie ten pokreślony egzemplarz. Postanowiliśmy wracając odnaleźć kilka z nich. W szczególności chciałem odnaleźć KrugerStrasse, gdzie miał znajdować się pierwowzór wiedeńskiego hotelu „New Hampshire”.

Nie mieliśmy jednak planu Wiednia, więc wracając jechaliśmy po prostu w kierunku centrum. Oczywiście zaparkowanie auta w centrum Wiednia graniczy z cudem i gdzieś wśród małych uliczek ścisłego centrum kluczyłem wypatrując wolnego miejsca. Kompletnie pogubiliśmy się i już tylko chciałem po prostu zaparkować. No i w końcu zrezygnowany, znalazłem wolne miejsce.

Kiedy wysiedliśmy z auta - okazało się, że stoimy dokładnie pod tabliczką z nazwą poszukiwanej KrugerStrasse. Jedna jedyna taka ulica w Wiedniu – i coś nas do niej doprowadziło...

Ola była mistrzynią przypowieści, alegorii. Posługiwała się nimi w pracy terapeutycznej. Potrafiła pięknie opowiadać, a opowiadała całą sobą, twarzą, rękami, świetnie nawiązywała kontakt ze słuchaczami.

I te Jej opowieści krążyły, żyły swoim życiem. Kiedyś, na jakichś wakacjach, czytałem drugą część książki „Trzej panowie w łódce”.

W jednym z rozdziałów była bardzo zabawnie opisana wyprawa głównego bohatera na rowerze, na którym wioził przez pola i lasy swoją żonę jako pasażerkę. Był tak zauroczony

jazdą i okolicami, że nie zauważył tego, że jego żona zeszła z roweru na jakimś postoju. Jechał sobie i jechał i cieszył się, że mu tak to dobrze idzie. W końcu chciał się podzielić radością z żoną, no i okazało się, że jej już za nim na rowerze nie ma.

Przeczytałem Oli i dzieciom tą historię – była bardzo śmiesznie napisana...

Po kilku latach, już po naszym rozstaniu, podczas jednej z rozmów o przyczynach, Ola opowiedziała mi tą samą historię, nie pamiętając skąd ją zna. Opowiedziała ją jako alegorię naszego życia... Tylko, że tym razem wcale nie było mi do śmiechu...

Po rozstaniu wielokrotnie rozmawialiśmy o nas, o naszym życiu, błędach.

Jakiś czas temu powiedziała: „Nie mogło nam się udać, byliśmy oboje zbyt pokręceni”.

W końcu mogliśmy rozmawiać o wszystkim: o naszym przeszłym życiu, o planach, o terażniejszości, o pracy, o dzieciach, o otaczających nas ludziach, problemach...

Widziałem, jak pracowała, ciężko pracowała na to, co osiągała. Na zewnątrz Ola była postrzegana jako silna osoba, odporna na wszystko itd. Ale tak naprawdę była delikatną, piękną wewnątrznie, uważną na innych, najwrażliwszą osobą jaką znałem.

Wielokrotnie pokazywała mi inne spojrzenie na omawiane sprawy, nauczyła mnie, że przeciwników nie trzeba niszczyć, że można pozwolić im pozostać przy swoim zdaniu, pozwolić odejść, a nawet nie trzeba ich wcale pokonywać.

Jej odmienny, wyważony punkt widzenia, był dla mnie bardzo ważny przez lata. Najpierw mnie denerwował, myślałem, że robi to celowo, byle przeciwko mnie, ale z biegiem lat zacząłem go sobie bardzo cenić i starać się samemu postrzegać sprawy z różnych perspektyw.

Nauczyła mnie nie oceniać ludzi. Dostrzegać i słyszeć to, co nie jest bezpośrednio przekazywane w rozmowie. Była ogromnie wyczulona na próby manipulacji, reagowała na nie bardzo negatywnie. Pokazywała mi mechanizmy manipulacyjne na poziomie świadomym i podświadomym.

Sporo się również o sobie w tej kwestii dowiedziałem.

Bardzo lubiłem oglądać z Olą filmy, chodzić do kina. A jeszcze bardziej rozmowy o świeżo obejrzanym filmie. Fascynowało mnie to, że Ona często zupełnie inaczej odbierała dany obraz, umiała odnaleźć w nim inne przesłanie, inaczej rozłożone akcenty. Wymienialiśmy się opiniami i te rozmowy były dla mnie równą przyjemnością, co oglądanie filmu.

Bardzo poruszyła nas śmierć p. Gustawa Holoubka. Byłem wtedy daleko, pamiętam, że dzwoniłem do Niej w nocy dzieląc się tą smutną wiadomością.

Nie zdążyłem się z Nią podzielić smutkiem po śmierci p. Zapasiewicza, który był pierwszym naszym wspólnie oglądanym wielkim aktorem w spektaklu pt. „Z życia glist” Enquista.

Ola była bardzo prawdziwa. Mówiła prawdę, nieraz smutną, niewygodną i postępowała uczciwie. Nie było kompromisów.

Umiała znaleźć w sobie prawdę, żyć w zgodzie z sobą. Przez lata nauki, szkoleń, poznawania siebie – stawała się coraz piękniejsza, mądrzejsza, silniejsza. Silniejsza spokojem, uczciwością, prawością. Pozostawała przy tym skromną, pełną pokory wobec świata i ludzi osobą.

A teraz zostaliśmy my, ludzie, którym pomogła, którzy wiele Jej zawdzięczają. Którzy wiele od Niej otrzymali.

Może uda nam się choć trochę tego przekazać dalej? Bardzo podobała nam się idea książki „Podaj dalej”

Ola jako psycholog była właściwą osobą na właściwym miejscu. Robiła to, co kochała, to było w niej, intuicyjne podejście do ludzi i ich problemów. Nawet krótka rozmowa z Nią potrafiła czynić cuda. I zapewniam, że nie jest to tylko moja opinia.

Miała kapitalne poczucie humoru, zarówno intelektualne, jak i takie kinetyczne – czasem podczas wspólnego oglądania jakiejś komedii z gatunku crazy comedy – mieliśmy z Anią niezły ubaw patrząc, jak Ola razem z Robertem śmieją się z prostych gagów – byle były przesycone ruchem i energią.

Miała dar do pamiętania i opowiadania kawałów, różnych pokręconych historii.

A w opowiadanie ich zaangażowała się całą sobą, można było się nieźle ubawić nie tylko treścią ale i grą aktorską podczas opowieści.

Potrafiła wzruszać się do łez podczas filmów nie tylko poważnych, ale i dla dzieci, np. o przygodach dzielnego tosterka... (a miał straszne przygody). A potem śmiać się z siebie samej, ze swojego wzruszenia.

Zawdzięczam Jej dobre, mądre i kochane dzieci.

Zawdzięczam zmianę mojej osoby, nauczyła mnie odczuwania, pokory, szacunku, hamowania agresji.

Pomogła mi się stać lepszym człowiekiem. Nauczyła, że nie należy bawić się czymś kosztem.

Ola była niczym szlachetne wino – im starsza, tym wspanialsza.

Żyła zgodnie ze erickson'owskim mottem: „Żyj najszczęśliwiej jak umiesz”

Tak żyła i tak odeszła – robiąc to, co sprawiało Jej radość, wierzę, że szczęśliwa w tej ostatniej chwili...

Wielokrotnie mówiłem Jej, że dzięki temu, jak bardzo w zgodzie ze sobą żyje, będzie zawsze zdrowa, piękna i nigdy się nie zestarzeje...

No i tak się stało.

I taka zostanie w mojej pamięci.

Lekko autoironiczna, z dystansem do siebie, uśmiechnięta, czuła, dobra, wrażliwa, uczciwa, odważna, prawdziwa w tym, co mówiła i robiła, zawsze pomocna, mądra, uważna na innych i bardzo, bardzo kobieca...

I będę żył dalej, bo wiem, że tego chciała, bo mam dla kogo.

„To była miłość od pierwszego wejrzenia”

[M@rek](#)

PS. Pewnie by mnie obśmiała za to pisanie.